



700 000
ODŁON
NA
WATTPADZIE

*Accipere praestat
quam inferre iniuriam*

spark

MONIKA RUTKA

[r u m o t k a]

be!
YA!

 editored

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Korekta: Anna Skóra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/sparke>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8649-5

Copyright © Monika Rutka 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

PROLOG

— Zapijanie smutków? — Do moich uszu dociera tak dobrze znany mi głos.

Unoszę wzrok znad żółtawej cieczy, przekręcam głowę w prawo i spoglądam w parę tęczówek w odcieniu nefrytu. Poprawiam się na niewygodnym barowym stołku, w dłoni obracając szklanekę z ostatnimi kroplami whisky, której jeszcze chwilę temu dolewał mi przemiły blondyn krzając się za ladą. Z plakietki na jego białej koszulce udało mi się wyczytać, że ma na imię Evan.

— Coś w ten deseń — odpowiadam po chwili, nie siląc się nawet na uśmiech.

Przez dłuższy moment patrzę prosto w pochłaniające mnie oczy o tak bardzo nietypowej barwie. Nie jest to czysta zieleń. Gdzieś dostrzegam czerń, a także jaskrawe barwy. W naturalnym świetle są o wiele ładniejsze.

Gdy orientuję się, że moje obserwacje trwają odrobinę za długo, chrząkam cicho i garbię się nieznacznie. Znów przenoszę myśli na jedyne źródło ukojenia i namiastkę szczęścia. Dopijam resztkę tego cholernie drogiego gówna, po czym proszę uroczego blondyna o jeszcze jedną kolejkę. Siedzący obok mnie mężczyzna wtóruje mi.

— Świat cierpi na brak mężczyzn. Szczególnie tych, którzy są cokolwiek warci¹ — przerywa ciszę chłopak, a ja ponownie na niego pa-

¹ Cytat z książki J. Austen *Duma i uprzedzenie*.

trzę. — Zapisano to już w dziewiętnastym wieku, a ty jesteś idealnym potwierdzeniem tej myśli. — Uśmiecha się smutno.

— Ja? Dlaczego?

Obserwuję, jak złote sygnety na dłoni szatyna mienia się w świetle słabych żarówek, gdy ten leniwie przechyla szklanke, aby chwilę później z impetem odstawić ją na blat. Robię dokładnie to samo.

— Inaczej nie siedziałabyś tutaj sama w środku dnia... — mówi z powagą, jakiej wcześniej u niego nie słyszałam, po czym dodaje, akcentując pierwsze słowo: — Każdego dnia.

Między nami nastaje cisza. Przenoszę wzrok na kolejne wyzerowane szkło.

„Czy już zawsze tak będzie?” — myślę sobie.

— Nie musisz tego robić — odzywa się znów siedzący obok mnie chłopak.

Gestem przywołuję tego ślicznego blondyna, niemo prosząc o jeszcze jednego. Jest naprawdę przystojny, choć nie w moim typie. Ma twarz modela. Myślę, że może być w moim wieku, albo rok czy dwa starszy. Już z daleka widać, jak delikatne są jego dłonie. Pewnie dorabia sobie po szkole. Pewnie wraca wykończony, nadgania zaległości, idzie spać i tak aż do piątku. Wtedy też wychodzi ze znajomymi na miasto i nie przejmuje się już niczym. Żyje chwilą, jakby jutra nie było. Jakby nic nie miało znaczenia.

— Ostatnio w moim życiu nie ma słusznych decyzji — mówię cierpko. — Ale uwierz, że gdybym miała zrobić to jeszcze raz... nie wahałabym się.

„Czy ktoś mówił ci kiedyś, że masz piękne oczy?” — w mojej głowie znów pojawiają się myśli dopieszczane procentami.

— Coś wymyślę. Obiecuję — zapewnia.

Choć wiem, że on bardziej niż ja próbuje uwierzyć w te słowa, siłę się na uśmiech i zeruję kolejną szklanke.

Już nawet nie wiem która to.

— Chcę, abyś coś dla mnie zrobiła — informuje po chwili szatyn, odstawiając szkło na blat.

Przekręcam się na stołku, tak aby być twarzą do niego. Opieram się wolną ręką o bar, szczerze zaciekawiona tym, co ma mi do powiedzenia. Ten chłopak nigdy o nic nie prosi.

— Może i skończy się to tragicznie. Może będziesz żałowała. Może. Ale tylko może — mówi tajemniczo, a ja już wiem, że to nie przyniesie ze sobą nic dobrego.

— Co w takim razie mam zrobić? — dociekam, choć teraz jest mi już wszystko jedno.

— Nie opieraj się.

Marszczę brwi.

— Niby przed czym?

Kolejna wyzerowana szklanka. Przekrwiony wzrok. Słaby uśmiech.

— Przed zapomnieniem. Na chwilę.

I wtedy prychnęłam. Szczerze się zaśmiałam, przez co zwróciłam na siebie uwagę każdej jednej siedzącej w lokalu osoby.

Patrząc na to z perspektywy czasu, wiem, że powinnam pamiętać. Powinnam była się oprzeć. Nie patrzeć. Nie dać się pochłonąć. Nie w ten sposób.

Bo gdy zawiesiłam na Tobie wzrok, gdy pozwoliłam sobie na to wszystko... spodobało mi się. Nie powinno. I właśnie dlatego było to tak boleśnie dobre.

Wystarczyła iskra.

Zapominając, wznieciłam płomień. Ten sam, który spalił każdy most prowadzący do mojej bezpiecznej wyspy. Zostałeś na niej. I choć powinno mnie to cieszyć — przerażało.

Bo i wyspa powoli się zatapiała.

A My przecież nie potrafiliśmy jeszcze pływać.

Musiałam to zrobić. Wybacz mi.

Twoja C.

★

Rozdział 1

Od dziecka zwykłam głośno i stanowczo wyrażać swoje opinie na najróżniejsze tematy. Nigdy nie pozwalałam innym na słowa sprzeciwu, a docierające do moich uszu niechętne mi uwagi kwitowałam prychnięciem i tupnięciem nóżką, jak na rozpieszczoną panienkę przystało.

Pamiętam dzień, w którym jeden ze znajomych ojca powiedział, że moja bezpośredniość i cięty język przyniosą mi bardzo dużo korzyści, ale raczej więcej problemów. Wtedy też rzuciłam w jego stronę jakiś kąśliwy komentarz, a mężczyzna zaśmiał się, nie dowierzając, że taka małolata ma w ogóle czelność pyskować osobie trzykrotnie od siebie starszej.

„Cóż, teraz powinnam odnaleźć tego faceta, przeprosić go i po prostu przyznać mu rację” — myślę sobie.

Zaciskam dłonie w pięści i zamykam mocno oczy. W myślach liczę do dziesięciu, czując nieprzyjemny ścisk w dole brzucha. Moje uszy zatykają się na moment, aby chwilę później wszystko wokół niebezpiecznie ucichło.

Rozluźniam uścisk w momencie, gdy dociera do mnie głos kapitana samolotu informujący o pomyślnym lądowaniu. Mężczyzna dziękuje za wybranie tejże linii i zachęca do ponownego skorzystania z usługi. Dopiero gdy ktoś przypadkiem szturcha mnie w ramię, orientuję się, że przez cały ten czas moje powieki były zamknięte.

Cholera. Udało się.

Odpinam pas i rozglądam się wokół. Ludzie pospiesznie opuszczają swoje miejsca, aby jak najszybciej wyjść z pokładu, nie zdając sobie chyba sprawy, że takie przepychanki jedynie wszystko wydłużą. Siadam

więc ponownie na swoim miejscu i czekam, aż tłok zelżeje. Gdy zostaje zaledwie pięć osób, wstaję, po czym wyjmuję walizkę ze schowka nad głową, klnąc na to, jak cholernie jest ciężka.

Opuszczając pokład, żegnaj się z przemiłą stewardesą, która życzy mi udanego pobytu w Liverpoolu. Odpowiadam jedynie nikłym uśmiechem, jednak ta nadal okazuje niezwykle entuzjazm.

Byłam wykończona.

Kiedyś marzyłam o pracy w przestworzach. Później jednak odkryłam, że mam awiofobię. Poza tym im starsza się stawałam, tym więcej zaczynałam dostrzegać.

Wyobraźcie sobie mieć płacone za to, że uśmiechacie się do ludzi, gdy zrzędzą wam, że jest im zimno. Że nie macie prawa mieć gorszego dnia, zawsze musicie wyglądać nienagannie i mieć w sobie tak wiele cierpliwości...

Nie, to nie dla mnie. Zdecydowanie.

Droga z placu do miejsca odpraw zajmuje mi mnóstwo czasu. Korytarze zdają się nie mieć końca, a co najgorsze — każdy wydaje się dokładnie taki sam jak poprzedni. W pewnym momencie przystaję, aby upewnić się, czy czasem nie krążę w kółko. Gdy jednak do moich uszu docierają w końcu stłumione głosy — ruszam przed siebie.

Przekroczywszy dwuskrzydłowe drzwi, trafiam do rozległego pomieszczenia wypełnionego ludźmi. Każdy przeciska się przez tłum i ustawia w przydzielonym do swojego lotu rzędzie, po czym wchodzi w labirynt stworzony z niebieskich pasów zaczepionych na niewielkich słupkach.

Odnajduję wzrokiem swoją trasę i stoję za wysokim mężczyzną, który właśnie dzwoni do ukochanej i informuje ją o dotarciu na miejsce. Idę więc jego śladami, łączę się z tutejszym wi-fi i wysyłam ojcu wiadomość.

„Muszę pamiętać, aby zmienić kartę” — notuję sobie w głowie.

Ku mojemu zaskoczeniu odprawa przebiega bardzo sprawnie. Zarówny mężczyzna pyta jedynie o powód mojej wizyty, sprawdza dokumenty, po czym życzy miłego pobytu. Dziwi mnie brak jakiegokolwiek przeszukania, jednak nie zaprzęgam sobie tym dłużej głowy. Zamiast tego odnajduję taśmę, na której kolejno pojawiają się najróżniejsze walizki. Czekanie na bagaż zajmuje mi jakieś piętnaście minut, a jakby tego było mało, zdjęcie go z taśmy przerasta mnie zupełnie. Na szczęście

stojący nieopodal starszy mężczyzna postanawia się nade mną zlitować i mi pomóc.

Po zapakowaniu walizek na wózek żegnám się z przemiłym Gerardem i ruszam w stronę wyjścia na główną halę. Staję na moment w miejscu nieco zdezorientowana. Z każdej strony ludzie rzucają się w ramiona bliskich. Wiele osób płacze, inni krzyczą z radości, a gdzieś w tle słyszę jeszcze wrzaski jakiegoś dziecka. Ogólne zamieszanie sprawia, że na chwilę tracę poczucie czasu, przyglądając się temu chaosowi.

Kiedy w końcu się otrząsam, staram się wśród tych wszystkich ludzi odnaleźć znajomą twarz. Jednak w pierwszej kolejności zatrzymuję wzrok na sporej wielkości tekturze z napisem: „Elizabeth Parker! Jestem tu, jak coś!”.

Kąciki moich ust unoszą się niekontrolowanie, a nogi same ruszają przed siebie. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna jak na zawołanie krzyżuje ze mną spojrzenie i odwzajemnia uśmiech, stojąc jeszcze przez chwilę z uniesionymi rękoma.

— Jest i ona! — mówi radośnie, gdy staję naprzeciwko niego.

— Dzień dobry!

Z entuzjazmem wysuwam dłoń w kierunku brązowego, na co ten śmieje się jedynie i zamyka mnie w szczelnym uścisku. Oszołomiona tym gestem stoję przez moment w bezruchu, jednak ostatecznie odaję go delikatnie.

— Bardzo się cieszę, że dotarłaś bez większego problemu. Jesteś pewnie zmęczona i głodna. Daj, pomogę ci.

— Nie, no, dziękuję. Poradzę sob...

— Ja wezmę te duże, a ty te małe. Zapakujemy co trzeba i ruszamy w drogę. Nie traćmy czasu. Josephine nie może się doczekać twojego przyjazdu. Caroline również. — Mężczyzna bez zbędnych ceregieli wyjmuję moje walizki z wózka, rozsunięszy automatyczne rączki.

I choć naprawdę staram się o tym nie myśleć, czuję, jak mój brzuch na te słowa zaciska się w supeł, a to kocie żarcie, które zjadłam ostatnio dla zakładu, podchodzi mi do gardła.

Jonathan, bo właśnie tak nazywa się mój opiekun w rodzinie goszczącej, posyła mi ostatnie, radosne spojrzenie i kiwnięciem głowy pokazuje kierunek, w którym mam się udać. Sprawnie chwytam rączki

i ruszam za nim. Rozglądam się w międzyczasie po pustoszejącym powoli lotnisku, wdychając ciężko.

Gdy mijam jedno z wielu rozsuwanych drzwi, wzdrygam się mocno. Chłodny podmuch uderza w moje ciało, a ja przystaję na moment i unoszę wzrok ku niebu, korzystając z okazji zaczerpnięcia świeżego, nadmorskiego powietrza.

Przez następne dziesięć minut przemierzamy ogromny parking, na którym stoją setki samochodów. Gdy docieramy do sektora G2, idący przede mną mężczyzna podchodzi do czarnego range rovera. Bardzo sprawnie, w ciszy pakuje walizki do bagażnika, po czym prosi, abym zajęła miejsce pasażera.

— Co ty robisz, Elizo? — pyta w momencie, gdy otwieram drzwi.

Marszczę brwi. Przecież właśnie to kazał mi zrobić, prawda? Z niezrozumieniem patrzę na miejsce za szybą i prychem. Dobra, jestem głupia.

— Boże, zupełnie o tym zapomniałam. — Śmieję się pod nosem, a Jonathan mi wtóruje.

Okrażam samochód i zajmuję miejsce po lewej stronie. Muszę się do tego przyzwyczaić.

— Daj sobie kilka dni, a stanie się to dla ciebie normalnością. — Mężczyzna siada za kierownicą. — Sam na początku miałem ciężko.

— Nie jesteś stąd?

Jego akcent jest tak silny, że bez zastanowienia przypisałabym go właśnie do tego kraju, gdybyśmy spotkali się w Ameryce.

— Urodziłem się pod Chicago. — Zerka na mnie z ukosa, odpalając samochód. — Po dwudziestych urodzinach przeprowadziłem się do Londynu.

— Sam?

Kiwa głową, ostrożnie cofając z miejsca parkingowego.

— Tak. Byłem dzieciakiem. Któregoś dnia po prostu spakowałem się, oznajmiłem rodzinie, że muszę coś zmienić, i z trzystoma dolcami przyleciałem tutaj. Potrzebowałem wrażeń. Wiesz, adrenaliny. — Śmieje się na te wspomnienia. — No i tak zaszalałem, że rok później na świecie pojawiła się Caroline — dodaje z humorem, a ja parskam na te słowa.

Wyjazd z parkingu zajmuje nam dłuższą chwilę z powodu samochodów, które w tym samym czasie ruszyły w stronę szlabanów. Gdy

w końcu udaje nam się opuścić plac, Jonathan wjeżdża na autostradę i znacznie zwiększa prędkość. Uwielbiam to.

— Myślę, że ci się tu spodoba. Co prawda nie jest to Santa Monica, a temperatura nawet nie zbliża się do tamtejszej, szczególnie o tej porze roku, ale to akurat też jest kwestią przyzwyczajenia.

Jedziemy po lewej stronie... Ale to jest dziwne.

— Jestem raczej pozytywnie nastawiona do pobytu tutaj. Pogoda to najmniejszy problem — mruczę pod nosem, wzrokiem pochłaniając widoki za oknem.

Zachód słońca nad Morzem Celtyckim, wzdłuż którego biegnie autostrada, to coś, co pozostanie w mojej pamięci na bardzo, bardzo długo. Malownicze niebo okryte barwami od granatowej po rażącą czerwień sprawia wrażenie znakomitego obrazu, wręcz nierealnego. Myślałam, że to kalifornijskie niebo przyprawia mnie o dreszcze jak żadne inne. Zmieniam zdanie. Tutaj nie ma porównania.

— Cieszę się, naprawdę — mówi Jonathan z przekonaniem i po prostu czuję, że jest to w pełni szczere. — Rozmawiałem już z dyrektorem. Powiedział, że jeśli nie będziesz czuła się na siłach, aby zjawić się w poniedziałek w szkole, nie widzi w tym problemu.

— Pójdę.

Mężczyzna kiwa głową, a jego wzrok ląduje na lusterku. Sprawnie wyprzedza trzy samochody i jeszcze mocniej wciska pedał gazu. Gdy wraca na pierwotny pas, zmienia temat rozmowy. Wypytuje, jak minął mój lot, czy nie było żadnych problemów i jak z moim wyjazdem czuje się ojciec.

— Cóż, no było mu ciężko. Jestem w końcu jego jedyną córeczką. Nigdy nie rozstawaliśmy się na dłużej niż tydzień. — Śmieję się pod nosem, na co delikatnie unosi kąciki ust. — Uważa jednak, że dobrze zrobi mi ta zmiana. Ja też tak myślę. Poza tym jestem młoda. Potrzebuję wrażeń. Wie pan, adrenaliny.

Uśmiech Jonathana poszerza się na te słowa.

— Wszystko będzie dobrze, Elizo.

I choć wydaje się to odnosić do całokształtu mojej wypowiedzi, w głosie mężczyzny wyłapuję coś dziwnego.

Reszta drogi mija nam w przyjemnej atmosferze z jazzową muzyką w tle. Jon decyduje się opowiedzieć mi trochę o miasteczku: jego histo-

rii, mieszkańcach i ciekawych miejscach, które warto odwiedzić. Już na pierwszy rzut oka widać, że mężczyzna jest tam naprawdę szczęśliwy.

Kto wie, może i ja poczuję to samo.

— No więc witamy w Crosby.

Na te słowa mój żołądek kurczy się niemiłosiernie. Wbijam paznokcie w skórę zaciśniętych dłoni, tracąc powoli czucie w rękach.

Czuję dziwny niepokój. Jestem raczej osobą, która nie boi się próbować nowych rzeczy, jednak ten raz nieco różni się od poprzednich. Wcześniej nie zwykłam opuszczać rodzinnego miasta na tak długo. Do cholery, przecież jestem na innym kontynencie, z daleka od bliskich i w dodatku przyjechałam tu z zamiarem zamieszkania u zupełnie obcych mi ludzi. Choć ojciec zapewniał mnie, że rodzina jest sprawdzona i ma wiele pozytywnych opinii — nigdy nie wiadomo, jak potoczą się właśnie moje losy pod tym dachem. Jestem pewna siebie, otwarta i bezpośrednia — to prawda. Ale co, jeśli im się nie spodobam? Wideorozmowa to jedno, ale wspólne życie każdego dnia to zupełnie inny temat. Tym bardziej ze mną. A co ja zrobię, jeśli mnie wywalą?

„Boże, chcę do domu”.

— Wyglądasz, jakbyś miała zaraz puścić pawia — śmieje się Jon.

„Czy możesz się zatrzymać? To jest to, co chcę właśnie zrobić”.

Uśmiecham się jedynie na te słowa, starając się skupić uwagę na widokach za oknem — i nie ukrywam, okazuje się to strzałem w dziesiątkę.

Mijamy znak z nazwą miejscowości, wzdłuż ulicy zaczynają pojawiać się budynki. Niewielkie, połączone ze sobą piętrowe domki oraz ustawione po obu stronach drogi samochody, ściśnięte jeden przy drugim, sprawiają, że na moment wstrzymuję oddech. Niby nic takiego, a jednak dla mnie ten widok jest nie do opisania. Chciałabym zamieszkać w takim miejscu, bo tutaj wszystko wygląda tak... normalnie i nieidealnie? Sama nie wiem, jak ubrać to w słowa, ale mam wrażenie, że szybko się tu odnajdę.

Jon w szybkim tempie mija kolejne ulice, które o tej porze — jak mnie informuje — nie są już tak bardzo zakorkowane. Przejeżdżamy obok ogromnego parku oświetlonego przez stare latarnie oraz kilku budynków biurowych. Każdy z nich zbudowany jest w starym stylu, dzięki czemu nadają okolicy nutkę tajemniczości. Na jednym ze skrzyżowań dostrzegam ogromny słup, a na nim wskazujące różne kierunki znaki informujące o najważniejszych miejscach w mieście.

Gdy zapala się zielone światło, siedzący obok mnie mężczyzna skręca w lewo, zjeżdżając w dół, w stronę „Crosby Beach”. Następnie wjeżdża w pierwszą ulicę po prawej, a moje serce zaczyna bić w szalonym rytmie.

Channel Road. To tutaj.

— Jesteśmy w domu — mówi Jon, a w jego głosie słychać nutkę ekscytacji.

Przemierzamy jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym włącza kierunkowskaz.

Dobra, zaraz naprawdę się porzygam.

Samochód zwalnia. Wzrok kierowcy pada na przeciwległy pas, a kiedy mężczyzna upewnia się, że zdąży wykonać manewr, skręca ponownie w prawo. Hamuje przed niewysoką bramką, a ta uruchamia się automatycznie. W prawym rogu zauważam czujnik. Jak się orientuję, służy on do rozpoznawania tablic rejestracyjnych. Aiden, zamontował kiedyś coś takiego w naszym domu, ale z jakiegoś powodu się to nie sprawdziło. Nie wiem dlaczego, nie wnikałam.

Do posiadłości wjeżdżamy bardzo powoli, więc mogę się nieco rozjeździć. Na dworze jest już szarawo, mimo to dzięki pięknemu oświetleniu jestem w stanie co nieco dostrzec. Po obu stronach betonowego podjazdu rozciąga się soczyście zielona trawa. Sztuczna. Na bank. Nie brakuje tu jednak drzew ani krzewów. Przy ślicznej drewnianej ławeczce dostrzegam przebiśniegi, a pod jedną z dużych koron delikatnie buja się na wietrze huśtawka.

Widok serca tego miejsca sprawia, że uśmiech ponownie pojawia się na moich ustach.

Jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam.

Zbudowany z brązowej cegły dom ma wiele okien o różnych rozmiarach, przeszklone drzwi i czarny spadzisty dach.

— O kurna. — Wzdycham, orientując się, że powiedziałam to na głos. Silnik gaśnie.

— Gotowa?

On pyta poważnie?

— Oczywiście — kłamię.

Wysiadam z samochodu. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że niemal nie czuję nóg. Zatrząskuję drzwi auta i unoszę wzrok ku niebu,

biorąc kilka głębokich oddechów. W końcu ruszam w stronę bagażnika, przy którym spotykam radosnego Jonathana.

— Weźmiemy je później. Chodź, bo Jo dobija się do mnie od dziesięciu minut. Nie chcę dłużej biedaczki męczyć.

Nie odpowiadając nic, ruszam za mężczyzną. Staram się skupić uwagę na czymkolwiek, ale z powodu szargających moim ciałem nerwów nie jestem w stanie. Wyginam palce we wszystkie strony, aby nieco się odstresować.

Naprawdę nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. To nie jest do mnie podobne.

Jon otwiera drzwi domu i staje w przejściu, abym jako pierwsza weszła do środka. Zatrzymuję się w pół kroku. Gdy zerkam na niego, dostrzegam w jego oczach iskierki szczęścia. Czuję, jak niewielka część ciężaru spada mi z serca, a żołądek nieznacznie się rozluźnia.

Daję trzy kroki w przód. Gdy przekraczam próg, uderza we mnie ciepło wnętrza. O mój...

— Lizzy! — Wysoki kobiecy głos sprawia, że na moment odrywam wzrok od dębowych schodów znajdujących się po prawej stronie, które jako pierwsze rzuciły mi się w oczy.

Patrzę w lewo, na wyłaniającą się z pomieszczenia wysoką blondynkę. Ubrana w dopasowane czarne spodnie i białą koszulkę włożoną w ich środek uśmiecha się do mnie promiennie, rozkładając szeroko ręce. Nim się orientuję, tonę już w jej objęciach.

— Tak się cieszę, że w końcu przyjechałaś — mówi czule, gdy odsuwamy się od siebie, i kładzie dłonie na moich ramionach.

— Miło mi panią wreszcie poznać — odpowiadam zgodnie z prawdą. Czym ja się w ogóle tak stresowałam?

— Mów mi Josephine, proszę. Już o tym rozmawialiśmy.

Uśmiecham się delikatnie. Do moich uszu dociera dźwięk zamykanych drzwi, więc zerkam przez ramię na Jona, który leniwie zdejmuje buty, a zaraz po nich pozbywa się kurtki.

— Obiad czeka, chodźmy! — Blondynka chwytą moją rękę, jednak ja na moment ją wyrrywam.

Zdejmuję obuwie i kładę je na półce przy wyjściu.

— Tak bardzo cieszę się, że już jesteś! — piszczy kobieta, powtarzając w zasadzie to, co powiedziała niecałą minutę wcześniej.

Ponownie bierze moją dłoń w swoją i prowadzi do pomieszczenia po prawej stronie, blisko schodów, które jak podejrzewałam, okazało się kuchnią i... Nie widziałam jeszcze reszty domu, ale jeśli została urządzona w tym samym stylu co ta część, to śmiało mogę stwierdzić, iż jest spełnieniem moich najskrytszych marzeń.

Z lewej znajduje się ogromny biały stół przeznaczony dla sześciu osób. Na jego środku stoi kosz ze świeżymi owocami, a ścianę za nim zapełniają oprawione w ramki rodzinne zdjęcia. Środkową część zajmuje tego samego koloru co stół kuchenna wyspa z blatem z jasnego drewna. Pozostałe meble tworzą literę „L”. Nad zlewem znajduje się olbrzymie okno z widokiem na — jak przypuszczam — ogród. Całość dopieszcza ją zwisające z sufitu nad miejscami przeznaczonymi do posiłków lampy, ledy pod wiszącymi szafkami oraz mnóstwo innych drobiazgów, których mój wzrok nie jest w stanie od razu wyłapać.

„Jak w moim rodzinnym domu...” — myślę.

— Gdzie są dzieciaki? — pyta Jon, wchodząc za mną do pomieszczenia.

Mężczyzna podchodzi do zlewu, aby umyć ręce przed obiadem, więc idę w jego ślady.

— Caroline pojechała po Chase’a na trening — mówi Josephine, mieszając drewnianą łyżką coś na patelni. — Trzeba pojechać z nim jutro do mechanika po auto. Z tego, co słyszałam, jest już zrobione.

— W porządku. Proszę. — Jon podaje mi papierowy ręcznik, w który wycieram ręce, po czym dodaje ze śmiechem: — I co? Lepiej? Wiesz, Jo, myślałem, że Eliza mi zejdzie w tym samochodzie, zanim w ogóle wyjadę z parkingu w Liverpoolu.

Parskam, z trudem hamując śmiech.

— Nie wiedziałam, że aż tak to było widać.

— No ale dziwisz się, Jon? — Josephine unosi brew w odpowiedzi na słowa męża. — Sama na jej miejscu bałabym się dwudziestominutowej podróży z takim idiotą.

Jonathan otwiera usta, aby coś odpowiedzieć, jednak zamyka je w momencie, gdy do naszych uszu dociera dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza. Chwilę później słychać głośny śmiech. Matko jedyna...

— Ty to jednak jesteś debil!

— Powiedziała, co wiedziała!

— Oho. — Josephine wyciera dłonie w kuchenny ręcznik i patrzy wprost na mnie. — Teraz to dopiero poznasz tłumoków.

— Nie obrażaj moich dzieci — rzuca ciemnooki.

Blondynka przewraca oczami, po czym jej wzrok kieruje się na punkt poza moim ramieniem. Cholera. Cholera. Cholera. Czuję, jak moje ciało spina się bardziej niż dotychczas. Serce znów wybija jakiś dziwny rytm, choć może w ogóle już nie bije. Nie wiem. Nie myślę o tym. Ani o oddychaniu. Ja pier...

— O Boziu! — piszczy złotowłosa dziewczyna w momencie, gdy odwracam się na pięcie. — Lizzy!

W moich uszach echem odbija się stukot jej obcasów, gdy podbiega do mnie i bez zastanowienia zamyka w swoich ramionach.

Otwartość i ciepło tej rodziny rozwalają mnie od środka. Przysięgam.

Dziewczyna odsuwa się ode mnie i mierzy wzrokiem od stóp do głów, przez co czuję się nieco niezręcznie. Mimo to i ja w końcu postanawiam przyjrzeć się jej z bliska, skoro jest ku temu okazja, bo — cholera — blondynka w obcisłej dopasowanej spódnicy i białej koszuli naprawdę robi wrażenie. Pozwoliła sobie na rozpięcie dwóch guzików i zaprezentowanie okazałego biustu, a pełne usta pomalowała czerwoną szminką. Jeszcze nigdy nie widziałam, aby ktoś miał tak czyste niebieskie tęcza i bujne rzęsy. Kamera podczas wideorozmowy zdecydowanie nie pozwalała dostrzec ich piękna. Jestem pewna, że w szkole dziewczyna przyprawiła o kompleksy większość koleżanek. Po prostu ideał.

— Ale się cieszę! Na żywo jesteś jeszcze śliczniejsza! — mówi bez ogródek. — W końcu w domu będzie równowaga i Jo nie zostanie sama na polu bitwy z tymi głabami.

— Kolejna! — Jon unosi ręce w błagalnym geście.

Śmieję się cicho, po czym przenoszę wzrok na osobę, która właśnie przekracza próg pomieszczenia. Nasze spojrzenia się spotykają. Na twarzy chłopaka maluje się grymas. Chyba jest to uśmiech. Nie wiem. Wcześniej, podczas wideorozmowy, przy której był obecny, również nie potrafiłam tego rozgryźć.

— Cześć — mówi niskim, zachrypniętym głosem i podchodzi, wysuwając w moją stronę rękę.

Chłopak jest wysoki. Cholera. Bardzo wysoki. Oni wszyscy tacy są. Myślę, że może mieć metr dziewięćdziesiąt. Ubrał się na czarno,

w dopasowane spodnie, koszulkę i bluzę. Jego włosy, niezbyt krótkie, kolorem nie różnią się od ubioru. Głęboka czerń. Kilka mokrych kosmyków opada mu na czoło, jednak szybko je odgarnia.

— Chase.

„Gapisz się trochę za długo, idiotko” — wrzeszczą głosy w mojej głowie.

— Elizabeth. — Odwzajemniam gest, jednak bardzo szybko wyswabdam dłoń z jego uścisku.

Zerkam niepewnie na ciemnowłosego, ale ten pozostaje niewzruszony i wsuwa ręce do kieszeni. Na prawej ma zegarek na skórzanym pasku.

— Dobra, siadajmy, bo umieram z głodu! — Caroline ciągnie mnie, bym usiadła obok niej.

Jonathan zajmuje miejsce u szczytu, Josephine naprzeciwko mnie, a obok kobiety siada ich syn.

— Prawie zapomniałam! — Blondyna klaszcze w dłonie, odsuwa się od stołu i podchodzi do lodówki. — Z racji tego, że tutaj, w Anglii, możesz robić to pełnoprawnie, musimy uczcić ten dzień. Jon, czyń honory.

Szatyn otwiera wino i rozlewa je do kieliszków, po czym odstawia butelkę na stół, na wypadek gdyby ktoś chciał więcej. Następnie życzy smacznego, więc każdy skupia się na wypełnieniu swoich talerzy. Ja postawiłam na sałatkę z kurczakiem.

— Jak minęła podróż, Lizzy?

Patrzę na siedzącą obok mnie Caroline, gdy w moich ustach ląduje kawałek sałaty z mozzarellą.

— Dobrze. Na szczęście obyło się bez wrzeszczących dzieciaków. Dziewczyna parska śmiechem.

— To trzeba faktycznie mieć szczęście. — Popija wino. — Kiedyś, gdy leciałam do Francji, jakiś dzieciak narzygał mi na jedyne buty, które ze sobą miałam. Były to czółenka z odkrytymi palcami, więc większość czasu spędziłam w łazience w samolocie, wyciągając spomiędzy nich resztki tego, co zwrócił.

— Poważnie, Car? Przy jedzeniu? — jęczy z niezadowoleniem Josephine, przeżuując coś.

— Ty to zawsze wiesz, co i kiedy powiedzieć — stwierdza Jon.

Blondynka wysuwa w stronę rodziców język.

— Po kolacji pokażę ci dom. — Josephine postanawia zmienić temat. — W zeszłym tygodniu razem z Caroline przygotowałyśmy dla ciebie pokój. Mam nadzieję, że lubisz beżowy. Szczerze, zapomniałam o to spytać, gdy rozmawiałyśmy. Ale jeśli nie, to zmienimy kolor. — Uśmiecha się ciepło.

W tym momencie do moich uszu dociera ciche prychnięcie z naprzeciwka.

Zerkam na siedzącego po skosie chłopaka, który przewraca oczami i — jak się okazuje — przysłuchuje się naszej rozmowie, grzebiąc w międzyczasie w telefonie.

— Młody, odłóż komórkę — mówi stanowczo Jon, a brunet od razu wykonuje polecenie.

Chrząkam cicho.

Chase jest jedynym z członków tej rodziny, z którym nie zamieniłam nawet słowa przed przyjazdem do Crosby. Podczas wideorozmów pojawił się tylko raz, a i tak siedział z nosem w telefonie, przewracając ciągle oczami i nie zwracając uwagi na to, co dzieje się dookoła. Z lekka aroganckie zachowanie, ale cóż, to nie moja sprawa.

— Nie trzeba — odpowiadam Josephine. — Jestem pewna, że będzie pięknie. Poza tym uwielbiam ten kolor.

— Och, to fantastycznie! — rzuca moja opiekunka.

Reszta posiłku mija w bardzo przyjemnej atmosferze. Rozmowa przebiega przez najróżniejsze tematy — od tych dotyczących mojej osoby po politykę czy po prostu śmieszne fakty związane z rodziną.

— Więc wracasz do Manchesteru, tak? — pytam, gdy Caroline mówi, jak bardzo ubolewa nad tym, że już jutro musi się ze mną pożegnać, przez co nie będzie nam dane lepiej się poznać.

— Niestety.

Och.

— No, ale w sumie od poniedziałku do piątku i tak masz szkołę, więc szybko zleci. A gdy już będę przyjeżdżała, to wyjdziemy na miasto czy coś. — Klaszcze entuzjastycznie w dłonie, po czym skupia uwagę na siedzącym cicho chłopaku. — Bo ten gbur to raczej niewiele będzie miał ci do zaferowania. — Parska, nie odrywając od niego spojrzenia.

Chase przewraca jedynie oczami na słowa siostry.

Dziękuję za przepyszny posiłek i już chwilę później stoję z Josephine przy zmywarce, klóćąc się o to, która z nas ją załaduje. Wygrywam solidnym argumentem, że skoro mam tu mieszkać, to muszę się przyzwyczaić i po prostu też dać coś od siebie.

— Jesteś na pewno bardzo zmęczona. Sama bym sobie poradziła.

— Przestań już marudzić. — Śmieję się na słowa Jo.

— Ej, ej! A ty dokąd? — Głos Jona sprawia, że unoszę wzrok znad urzędnika.

— Do pokoju? — mówi Chase, jakby to było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

— Najpierw pomożesz mi z walizkami.

Czy ten chłopak ma jakiś problem z oczami, że tak ciągle nimi przewraca? Wprawdzie mam to gdzieś, ale to takie słabe z jego strony.

— Nie musisz, dzięki — wtrącam szybko, zwracając się bezpośrednio do bruneta. — Poradzę sobie.

Nie mam zamiaru być mu wdzięczna za chociażby wniesienie głupich toreb, skoro zachowuje się w ten sposób. To nie tak, że oceniam pochopnie, ale patrząc na to, jak traktuje wszystkich wokół, po niespełna godzinie znajomości jestem skłonna stwierdzić, że charakterek ma z lekka paskudny.

— Och, panna niezależna, super. — Prycha cicho, myśląc chyba, że tego nie usłyszę.

Ale gdy już ma wyjść, a ja mam zamiar to po prostu przemilczeć, moje usta same się otwierają, zanim mózg w ogóle zdążył się rozgrzać.

— Masz jakiś problem? — pytam trochę zbyt chamsko.

Nie wiem, kto jest bardziej zdziwiony — siedzący przy stole Jonathan, który krztusi się winem, stojąca nieopodal Josephine, cicho chichrająca się na moje słowa, ja sama czy może chłopak, który zatrzymał się w pół kroku i patrzy teraz na mnie spode łba. Jego wzrok leniwie skanuje moją zgarbioną sylwetkę, po czym zatrzymuje się na oczach. Przez chwilę patrzy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kompletnie nie potrafię stwierdzić, o czym myśli.

— Fantastycznie. — Po raz milionowy tego dnia przewraca oczami i znika za ścianą.

Co za...

— Musisz wiedzieć, że Chase jest... — mówi w końcu blondynka, zerkając to na mnie, to na trzymany w ręku talerz — ...dziwny? Ale to już chyba zauważyłaś.

Jon śmieje się i wstaje od stołu.

Gdzie tak właściwie podziała się Caroline?

— Prawda jest taka, że trudno znaleźć na niego odpowiednie słowo — wtrąca mężczyzna. — Ale widzę, że ty akurat sobie z nim poradzisz. I dobrze. Z nim tak trzeba. My nie mamy nic przeciwko, a wręcz się cieszymy, że nie siedzisz cicho. Mimo wszystko zobaczysz, że gdy bliżej się go pozna, to jest w porządku.

Podmienili go, że jest tak różny od nich, czy jak? Nawet mnie nie zna, a już na wstępie zachowuje się jak zwykły dupek.

Nieważne.

Z pomocą Josephine sprawnie wypełniam zmywarkę brudnymi naczyniami. Nieistotny temat zachowania jej syna odkładamy na później, do reszty dając się pochłonać książkom. Jak się okazuje, kobieta jest bardzo czytana osobą. Obiecała mi pokazać swoją biblioteczkę, którą od kilku lat gromadzi, chodząc na targi i do antykwariatów.

— Udało mi się nawet dostać jeden ze stu pierwszych tomów wydanych przez Jane Austen.

— Nie...

— Aha! Co prawda trochę mnie kosztował, ale cholera, było to warcie kłótni z Jonem. Uwielbiam jej dzieła. — Wzdycha rozmarzona.

— To tak jak ja. Przeczytałam każdą z jej książek. Jest dla mnie ogromną inspiracją.

Blondynka uśmiecha się na moje słowa. Widać, że i ją wyraźnie cieszy nasze wspólne zainteresowanie.

— Chodź, pokażę ci dom!

Wycieram ręce w ręcznik, który wrzucam do kosza pod zlewem. Jakie to typowe. Z Josephine u boku opuszczam pomieszczenie. W korytarzu mijamy Caroline, która była na papierosie. Dziewczyna życzy mi dobrej nocy i tłumacząc się zmęczeniem, znika na górze.

— A więc tutaj mamy salon...

Przez kolejne kilkanaście minut ze skupieniem słucham kobiety, która cierpliwie i z niezmiennie bijącym od niej ciepłem oprowadza mnie po

domu. Okazuje się, że drzwi, z których wyszła, gdy się pojawiłam, prowadzą do salonu. Pod schodami swoje miejsce ma skrytka na najróżniejsze środki czystości. Naprzeciwko głównego wejścia znajdują się kolejne oszklone drzwi, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi — prowadzą do ogrodu za domem. We wnęce przy tylnym wyjściu jest łazienka, z której z reguły korzystają goście, oraz zejście do piwnicy. Tam Jon w wolnych chwilach tworzy. Co? Nie mam pojęcia i nie zamierzam dopytywać.

Piętro, na które prowadzą przepiękne schody — jako pierwsze rzuciły mi się w oczy i niezwykle mnie urzekły — to generalnie długi korytarz oświetlony jedynie lampami, bez jakichkolwiek okien. Pełen jest drzwi z białego drewna, skrywających tajemnice, które już niebawem mam poznać.

— Pierwsze po lewej to pokój Caroline, następny jest nasz, a ten ostatni to taka graciarnia. Tam też jest przejście na strych. Któregoś dnia pokażę ci, jak tam wejść — tłumaczy powoli Josephine. — Tamte drzwi na wprost prowadzą do niewielkiego pokoju dla gości, te obok, z prawej to pokój Chase’a, następnie jest twój, a za tymi jest łazienka. Z twojej sypialni jest wejście do innej łazienki, którą dzielisz z Chase’em. Jeśli jednak stanie się to dla ciebie niewygodne, wystarczy zamknąć drzwi do niej na klucz.

— W porządku. — Uśmiecham się tylko.

Czuję, że powoli dopada mnie zmęczenie.

— No a teraz najważniejsze.

Kobieta podchodzi do drugich drzwi po prawej, otwiera je z cichym skrzypnięciem i... O Boże, dlaczego te klamki są tak nisko zamontowane? Czy to normalne tutaj?

Josephine zaprasza mnie do środka. Gdy przekraczam próg, moje usta rozchylają się nieznacznie.

— Mam nadzieję, że będzie ci służył — mówi kobieta, gdy rozglądam się dookoła. — Bardzo lubimy jasne drewno. Generalnie cały dom utrzymaliśmy w takim stylu, więc stwierdziliśmy, że tutaj zrobimy tak samo, ale...

— Jest cudownie — wtrącam, nawet na sekundę nie odwracając wzroku od miejsca, które urzekło mnie najbardziej.

Podchodzę do ogromnego okna z szerokim parapetem pokrytym poduszkami i odsuwam delikatną białą firankę. To, co znajduje się za nim,

nie jest zbyt widoczne z powodu później już pory, ale jestem pewna, że jutro spojrzenie przez nie będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobię.

— Za drzwiami jest łazienka. Tak jak mówiłam, możesz z niej korzystać, ale nie musisz, choć uważam, że jest to bardzo wygodna opcja. Przygotowaliśmy ci tam szafkę na kosmetyki i inne takie. Wewnątrz są klucze, więc nie musiałabyś się martwić o to, że ktoś cię tam znajdzie.

Patrzę na kobietę, gdy siada na łóżku i podpira się z tyłu rękoma. Jej wzrok błądzi w ciszy po pomieszczeniu, aż w końcu zatrzymuje się na mnie. Josephine lustruje uważnie moje ciało i wreszcie patrzy mi w oczy. Postanawiam zająć miejsce obok niej. Wzdycham cicho.

— Wszystko będzie dobrze.

Przekręcam głowę, aby na nią spojrzeć.

Słyszałam już dziś te słowa, i choć są przecież tak normalne — znów wyłapuję w nich coś dziwnego i niezrozumiałego. Albo może to ja jak zwykle za bardzo doszukuję się we wszystkim drugiego dna?

— No, z pani synem za ścianą może być ciekawie.

Kobieta chichocze na te słowa, jeszcze raz prosząc, abym zwracała się do niej po imieniu. Proponuje pomoc w rozpakowywaniu, ale że jednocześnie ziewa — odmawiam.

— W takim razie pójde się ogarnąć i spać. — Otwiera drzwi. — Tylko nie siedź za długo, kochana. Dobranoc.

— Dobranoc.

I znika.

Opadam na miękki materac i patrzę w sufit. Jestem wykończona, chce mi się spać, ale nie mam zamiaru odkładać rozpakowywania na jutro. To naprawdę miłe, że Shawowie byli dla mnie tak życzliwi i zrobili absolutnie wszystko, abym dobrze się tutaj poczuła.

No, może nie wszyscy.

Mam nadzieję, że poradzę sobie z tym aroganckim chłopakiem. Naprawdę nie wiem, jaki ma ze mną problem, skoro nawet mnie nie zna. To nie fair, ale skoro tak zamierza się zachowywać, nie pozostanę mu dłużna.

Siadam na łóżku, a potem odpycham delikatnie, aby wstać na nogi. Mój wzrok zatrzymuje się na ustawionych pod ścianą walizkach. Podchodzę do drzwi i gaszę światło. Pozostawiam włączone jedynie dwie lampki na szafkach nocnych. Otwieram boczną kieszeń w najmniejszej z toreb i wsuwam tam rękę. Gdy wyczuwam coś twardego,

uśmiecham się triumfalnie. Z czerwono-białym pudełeczkiem ruszam w stronę okna.

Zrzucam poduszki na podłogę, a firanki odsuwam na bok. Otwieram skrzydło i delikatnie wychylam głowę. Cholera, zimno. Siadam na parapecie. Wyjmuję z pudełeczka zapalniczkę oraz papierosa. Drżącą dłonią odpalam go i zaciągam się mocno.

Nie miałam pojęcia, jak bardzo tego potrzebowałam, dopóki nie zapaliłam. Mam wrażenie, że razem z dymem ulatuje cały towarzyszący mi dotychczas stres i niepokój.

Wypalam fajkę w kilka minut, delektując się ciszą wokół. Przysięgam, że mogłabym tak siedzieć godzinami. Uwielbiam takie momenty. Dotychczas zdarzały się one raczej rzadko. Ciągłe wyjścia, imprezy i inne mało istotne, ale czasochłonne rzeczy. Przy moim trybie życia chwile podobne do tej wydają się spełnieniem najskrytszych marzeń.

Dziesięć minut później siedzę już na podłodze między otwartymi walizkami. Całe szczęście, że przed wyjazdem posegregowałam wszystko i teraz nie mam większego problemu z odnalezieniem niczego. Kolejną godzinę spędzam na porządkach. Puste ramki wypełniam zdjęciami, które wzięłam ze sobą do Crosby. Są najróżniejsze, choć najwięcej zabrałam tych z rodziną. O dwudziestej drugiej siedem pokój jest już posprzątany. Biorę więc przygotowaną wcześniej piżamę, po czym ruszam w kierunku łazienki. Odświeżę się i idę spać. Jestem wykończona.

Powolnym ruchem, z ubraniami pod pachą pcham drewniane skrzydło. Zamglonym wzrokiem rozglądam się po pomieszczeniu. Dopiero po chwili orientuję się, że światło jest już zapalone. Zatrzymuję się w pół kroku, a moje oczy otwierają się szerzej na widok stojącego nieopodal kabiny jak Pan Bóg go stworzył Chase'a. Chłopak patrzy na mnie z wysoko uniesionymi brwiami. Między nami zapada cisza. Nie mam pojęcia, jak długo to trwa. Odnoszę wrażenie, że nogi wrosły mi w ziemię, a niewidzialne dłonie chwyciły za gardło, odcinając dopływ powietrza.

„Tylko ja mogłam mieć tak wiele szczęścia już pierwszego dnia” — myślę sobie.

— Nie wiem... Zdjęcie chcesz zrobić, żeby było na dłużej? — odzywa się chłodno chłopak, kiedy patrzę prosto na jego twarz, nie mając odwagi ani ochoty zejść wzrokiem niżej.

Wtedy moje funkcje życiowe w końcu wracają. Zakrywam oczy ręką, mamrocze „przepraszam” i po omacku opuszczam łazienkę, po czym mocno zatrząskuję za sobą drzwi. Mój oddech się rwie, a uszy przeraźliwie pieką.

— Następnym razem proponuję zapukać! To nie Ameryka, gdzie każdy ma swoją łazienkę, dziewczyno! — Słyszę z łazienki, a to sprawia, że jeszcze bardziej się spinam.

Cholera.

Na drżących nogach podchodzę do łóżka i pozbywam się ubrań. Dziś zdecydowanie odpuszczę sobie kąpiel.

Starając się wyrzucić z głowy obraz nagiego bruneta, wsuwam się pod nieprzyjemnie chłodną kołdrę. Odblokowuję telefon i odpisuję kolejno na wiadomości od rodziny i znajomych.

Od: Tata

Ciesz się. Jutro zadzwonię. Całujemy!

Ciekawa jestem, czy odkryje kiedyś coś takiego jak spacja po kropce.

Od: zimnysuk

Słyszałem że już doleciałaś. Nie daj się przelecieć mała

Do: zimnysuk

da się zrobić. idę spać dobranoc!!

Odpowiadam jeszcze na kilka innych wiadomości, przeglądam sieć, a gdy czuję, że zmęczenie przejmuje nade mną kontrolę, odkładam urządzenie i przekręcam się na lewy bok. Z całych sił staram się nie myśleć o sytuacji sprzed chwili, jednak ta niezmiennie bombarduje mój umysł, zaśmiecając również sny.

Zapominając, wznieciłam płomień.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Nowe miejsce, nowy dom, nowi ludzie... i uśpione demony przeszłości

Elizabeth Parker zostawia słoneczne kalifornijskie plaże, w samym środku roku szkolnego, dla deszczowej Anglii. W dodatku zamieszkuje u zupełnie obcych ludzi, wśród których ma spędzić nadchodzące miesiące. Trochę dużo tych zmian jak na jedną nastolatkę.

Crosby już od pierwszej chwili wydaje się dla niej miejscem idealnym. W końcu gdzie lepiej się zaszyć, jeśli nie w małym nadmorskim miasteczku, u rodziny, która jest niczym bezpieczna wyspa?

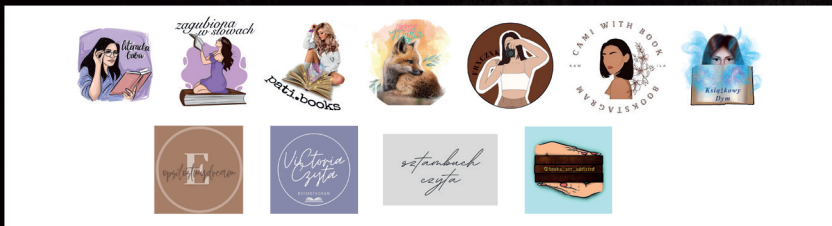
Państwo Shaw, Jon i Josephine, a także ich córka Caroline robią wszystko, by Lizzy czuła się u nich jak w domu. Co do syna... Chase, delikatnie mówiąc, nie przejawia takiej życzliwości jak rodzice i siostra. Jest uprzedzony i nieufny. Elizabeth zresztą też uważa go za nad wyraz irytującego człowieka.

Czy obawy Chase'a względem Elizabeth będą słuszne?

Co, jeśli Crosby nie jest wcale końcem świata?

I czy ojciec Lizzy miał jakiś cel w tym, że wybrał dla niej właśnie ten dom?

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-8649-5



9 788328 386495

cena 49,90 zł

 **editored** / editio.pl

beya 18+
beya.pl